

# Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,  
Jeśli doma nie uradzisz.

REJ Z NAGŁOWIC.

Poznań, dnia 4. Sierpnia.

ROK 1841.

**DZIENNIK DOMOWY**, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydana jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 3, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

## Marzenie było mu życiem.

Powieść przez Stefanią F....

(Ciąg dalszy.)

VI.

Świat omamień wczesnie zginie!

Józef Bohdan Zaleski.

Nazajutrz siedział Janusz zamyślony obok swojej narzeczonej; nie długo miał już stanąć u celu swych życzeń; — żałoba Maryi się kończyła, a ślub wkrótce naznaczono. Smutnym był Janusz — uczucie niezwykle żalu osiadło kamieniem na jego myślach — wyrzucał sobie rozpacz, którą w oczach zgranych przyjaciół widział — złorzeczył temu, który go do gry namówił. Pierwszy raz z goryczą spojrzął na ludzi i pytał: czemu sobie wzajemnie truć szczęście życia tego? czemu, stworzeni na tym świecie ku wspólnemu życiu, stawać dobrowolnie na drodze współbliznich, by ich ze ścieszki szczęścia w przepaść nędzy strącać? Słowa Maryi wyrwały go myślom niemylim — w jej oczach łagodnych i niewinnych znalazł Janusz dziewiczość marzeń, które skalął mimowolnie dotknięciem się świata.

«O Maryo!» mówił do niej — «wróćmy w nasze spokojne i lubie ustronie, tam nasze szczęście się zrodziło; wróćmy pod strzechy ojczyste!»

«Ojciec mój żąda, by tutaj wesele się odbyło, bo ciocia nie chce jechać z nami.»

«Niech i tak będzie Maryo — wszak to już nie długo — o! potem zaraz wracam z tobą do domku mojego — wszak wrócisz chętnie na wieś Maryo? wszak chętnie mój skromny domek zamieszkaż?»

«Możesz-że pytać o to Januszu? ja nie pragnęłam stolicy — nie znam i nie żądam poznać jej

uciech — a jedyne szczęście moje, jedyna nadzieja całej przyszłości jesteś ty jeden Januszu!»

Uściskał rękę Maryi młodzieniec — a w tém słuzący oznajmił Augusta. Marya wyszła, a Janusz gością przyjmował: «Jam przyszedł po ciebie,» mówił przychodzień — «chódź ze mną, musisz dać rewanż nieszczęśliwym wczoraj przeciwnikom; wiesz, że nam się wczoraj wybornie udało — a przegrani byli w rozpacz. Bo też jeden z nich nie wiele ma do stracenia — a to, co wczoraj w karty puścił, to był podobno ostatni grosz z kieszeni.»

«Biedny! ja mu oddam wszystko, com wygrał — nawet więcéj!»

«Ha! ha! czy myślisz, żeby przyjął twój dar Januszu? — czy chcesz obrażę przydać do nieszczęścia? — tożto dług karciany to święty, raczej w łeb palnąć kulką, niż nie zapłacić tego, co się w karty przegra. A oddawać komu pieniądze — ej! Januszu, czyś ty dziecko? fe! — porzuc te wyobrażenia wiejskie, naucz się przecie żyć na świecie. No! a teraz weź kapelusz i chódźmy — tanci czekają na nas.»

Poszedł Janusz niechętny i smutny — radby był pół majątku oddał, by wrócił to, co mu ślepe karty w rękę dały. Lecz próżno chciał przegrać, szczęście czy nieszczęście uwzięło się na niego, a gdy wyszedł wraz z innymi, toż samo wejście rozpacz czy żegnało odchodzącego młodzieńca — nawet gospodarz domu zgrał się tego wieczora.

Na drugi dzień rano zastał Maryą zapłakaną. Długo biedne dziewczę łez przyczyny wyjawic nie chciało, nareszcie dowiedział się Janusz, iż ojciec wie o tém, że grywa w karty, i mocno się o to pogniwał. Pierwsze to łzy były, które Janusz z oczu Maryi wyciskał, pierwsza goryczy chwila, którą za-

truł swobodne i niewinne życie. Zadrzał na tę myśl młodzieniec, czuł że winny mimowolnie, mimo chęci, i jak winowajca na kolanach swoją Maryą przeproszał; a jak łatwo pocieszyć ją było, jak łatwo głos ukochany przekonać jest w stanie, wkrótce uśmiech na usta dziewczęcia powrócił, a Janusz w tym uśmiechu zapomniał o świata tego reszcie. Przebaczył mu i ojciec, bo go szczerze kochał, a chęć wrócenia na wieś, którą Janusz oświadczył, ucieszyła go i uspokoiła zupełnie. Za dwa tygodnie ślub miał nastąpić i rozliczne przygotowania całkiem czas Janusza zajęły. Unikał ludzi, bo zdarzenia przy zielonym stoliku serce mu obawą napęłniły — ale w szczęściu, w marzeniach swych żyjąc — myślał tylko o pięknej przyszłości, i powrotu do wioski ukochanej pragnął.

## VII.

Bo czas rozdarł zasłonę,  
Rozwiał mary omamień;  
I me serce strapione  
Ciśnie boleśń jak kamień.

*Józef Bohdan Zaleski.*

Przyszła wilia ślubu — Janusza rzeczy popakowane, do podróży przyrządzone, miały wraz ze świtem dnia jutrzejszego do wioski wyruszyć — oboje zaś zaraz po ślubie pospieszyć mieli za nimi. Janusz szczęśliwy, krzątał się, kupował, przyrządzał; a to wszystko dla Maryi — dla kochanki — narzeczonej — żony. Zapomniał o przyjaciółach, znajomych — o świecie całym zapomniał: bo w szczęściu swém ani ludzi, ani świata nie potrzebował.

Właśnie ostatni tłóмок zapinał służący, gdy za drzwiami szelest dał się słyszeć i czterech znajomych Janusza wpadło do pokoju. Był między nimi August, gospodarz owych wieczorów karcianych — biedny ograny — i jeszcze jeden z młodzieży.

»A, Januszu!« zawołał jeden — »przepraszamy, że tak niespodzianie — ale co to? — wyjeżdżasz — a gdzie to tak prędko — wszak podobno się żenisz?...«

»Tak — wyjeżdżam jutro — dla tego przeproszam was, że wszystko w nieładzie.«

»Nic to nie szkodzi; — ależ tak nagle, bez pożegnania się z nami — a to się nie godzi Januszu! — przecież coś z twego serca trzeba było i dla przyjaciół zachować. Twoja pani byłaby się o to nie gniewała przecież!«

»Szczęście, żeśmy przyszli, byłbyś nam uciekł bez pożegnania.«

»Jakieś szczęśliwe natchnienie nas tu przyprzewadziło — byłbyś nas w rozpaczę zostawił, żeśmy się pożegnać nie mogli.«

»Dziękuję wam; prawdziwie zawstydzacie mnie — ale to przy wyjeździe tyle zatrudnienia, kłopotów....«

»A jeszcze, jeżeli ktoś nie sam wyjeżdża. — Ale wiesz co Januszu, to nie pięknie uwozić nam żonkę z Warszawy.«

»A jeszcze do tego ładną — widziałem ją kiedyś w kościele, ładna — piękna! dobry masz gust Januszu.«

»Dziękuję ci za pochwałę; piękność jest najmniejszą z jej zalet.«

»Brawo! Januszu, brawo! zupełnie jak rycerz średniego wieku, zakochany po uszy.«

»No! no! daj mu pokój roztrzępańcze! nie obrażaj odjeżdżającego przyjaciela.«

»Ale, ale Januszu,« mówił po chwili milczenia August — »wszak nam jeszcze rewanż winienes — przecie nie wyjedziesz naszym dłużnikiem.«

»Rewanż — ależ to być nie może, nie mam chwili czasu wolnej.«

»O! znajdzie się czas, jak będzie chęć poszukać; a teraz cóż masz robić?«

»Co robić? — muszę iść do ojca Maryi — wszak mnie tam powinność wzywa. Dajcie mi pokój, grać nie będę.«

»Ależ przecie winienes nam rewanż — ostatni raz kaducznie nas ściągnąłeś.«

»Auguście! jakieś dobry, daj mi pokój — wszak przymuszaliście mnie do grania — ja kart nie lubię — nigdy nie grywam.«

»Dobrze! ale kiedy kto wygrał, musi przecież dać się odegrać — tak każe uczciwość, honor!«

»Honor, Auguście! nie mięszaj honoru w tę sprawę — choć nie w wielkim wychowany świecie, uziem pojąć, co honor.«

»Kiedy go pojmujesz, daj dowód tego; — kiedyś wygrał, musisz grać z nami.«

»Kiedy wam tak bardzo chodzi o pieniądze — macie wszystko wasze, nie tknąłem się ich« — i to mówiąc wy dobył worek z pieniędzmi i rzucił im na stół.

»Czy myślisz, że my potrzebujemy jałmużny — jakieś wziął, tak oddaj — nie wypuścimy cię ztąd — oto karty, graj!«

Janusz przyparty żywo, nie widział zresztą innej drogi, jak wypełnić ich wolę. Może w innej chwili byłby inaczej postąpił — ale dzisiaj, mógłże się na śmierć wystawiać, lub swą rękę w krwi bliźniego maczać? Z pogardą popatrzał na przeciwników, kazał dać stolik i milcząc wskazał im stolki podane. Usiedli. August założył bank — Janusz stawiał duży — prędko — chciał był jedną kartą zakończyć

grę całą. — Gniew, wzgarda, niecierpliwość miotaly duszą jego; — dwie stawki wygrał, kupa pieniędzy leżała przed nim. Ręce przeciwników drżały, oczy iskrzyły się namiętności ogniem. Czas uciekał, Janusz był jakby w płomieniach słoma — już chciał opuścić stolik, ale przeciwnik jego, ten co najprzód ogrymym został, schwytał go za rękę: „Graj! albo....“ i pogroził mu pięścią. — Gniew zawrzał namiętnie w Januszu — każda żyłka zakipiła w ciele jego; w tej chwili chciałby był zniszczyć świat cały, ludzi wszystkich — nienawidził ich całą mocą dawniej miłości. — Powinność serca, cała dusza jego wzywały go do Maryi; jakby przykutym żelaznemi okowami zżymał się biedny młodzieniec i radby był świat cały wraz z sobą w otchłaniach ziemi pograżyc. W tém zerwał się ze stolka — porwał za worek z pieniędzmi, rzucił go na stół, aż kilka sztuk srebrnych zleciało i potoczyło się po podłodze. „No! macie“ zawołał — „wszystko od razu.“ August przerachował zwolna pieniądze — było ich tysiąc dukatów — wziął w milczeniu karty — wyciągnął — wygrał — wygrał podwójnie. Janusz poskoczył do szkatułki, silnie uderzył w nią nogą — rozleciała się w kawalki; wydobyl z niej pieniądze, rzucił na stół przegraną kwotę. — „Czy macie już dosyć?“ zawołał z uśmiechem szyderskim — „a teraz.....“

„A teraz“ przerwał August — „już i tak późno do twój przyszłej — damy ci rewanż, przegrany jesteś — weź bank — patrz-no! brakuje 100 dukatów — rozegramy się o nie.“

Janusz był jakby w oblakaniu, szczęście go opuściło — każda karta była mu przegraną, a on brał inną, grał, przegrywał i znów grał dalej. Wszystkie namiętności wrzały głucho w jego sercu, a myśl bez ładu, niewyraźna, żadnym obrazem na tle duszy się nie składała. Nie wiedział, ile stawia, ile przegrywa — a przeciwnicy korzystali z tego i zgrali go zupełnie. — Słońce było już wysoko, gdy Janusz błądy i milczący stał oparty o komin w swoim pokoju, na schodach słyhać było stapanie oddalających się graczy. Służący Janusza wszedł do pokoju. „Pan sędzia trzy razy posyłał wczoraj wieczór po pana, ale pan August zakazał wpuszczać kogo do pokoju — i dzisiaj.....“ Drzwi były uchylone — głosy odchodzących wlatywały jeszcze czasami do pokoju — jeden z nich rozśmiał się głośno i ten śmiech wyraźnie doszedł do uszu Janusza. Jakby ze snu oczuony spojrział w około siebie i pędem zbiegł ze schodów. Z oczu jego skry gniewu przyskały, a blade usta ścięte były jakby w ostatnich zgonu konwulsyach. Jeszcze na dole doznał oddalających się graczy — nagle pochwycił Augusta za

rękę: „Tyś mi wydarł wszystko — spraw mi się, albo....“

„Jak ci się podoba — ale zaczekaj trochę; muszę się przebrać, posilić.“

„To nie są żarty, mospanie!“ dodał Janusz wstrząsając ręką Augusta — „za godzinę, na Bielanach, czekam ciebie.“

## VIII.

Dzisiaj po latach tylu, po takiej przemianie,

W miejscach najszcześniejszych, w najsmutniejszym stanie. *Mickiewicz.*

Był to więc poranek dnia pięknego — dnia słońca, wesela. Marya choć smutna i strapiona wczorajszą niebytnością Janusza, odżyła widokiem pogodnego nieba i nadzieją przyszłości, którą jej dzień ten oznajmił. Rano było — Marya klęczała przed obrazem ś. i modliła się szczerze, bo prosiła u dawcy szczęścia o Janusza szczęście. Służący kręcili się w domu, każdy miał coś do czynienia w dniu tym ważnym i uroczystym. Wchodzono i wychodzono z pokoju Maryi — a ona z bijącym sercem myśli swoje do Boga zwracała. Z cicha i ostrożnie wszedł Janusz do pokoju. Błądy, pomieszany, stanął we drzwiach i rozpaczliwym okiem spojrział w około siebie. Wszystko tam jeszcze tchnęło pokojem i nadzieją szczęścia. Na łóżku leżała biała Maryi suknia, a obok niej bukiet mirtowy związany białą wstążką, i wianek przepleciony śnieżnym pomarańczy kwiatem. Janusz wstrzymał oddech w sobie; przyszedł on jeszcze ujrzeć i pożegnać Maryę — bo za godzinę, nie wiedział, czy ujrzy ją kiedy na tym świecie. Ujrzał ją — lecz nie śmiał pożegnać, bo Marya wydała mu się aniołem, co z Bogiem rozmawia — mógłże ją występny na drogę świata i cierpień sprowadzać? — „Bądź jeszcze choć chwilę dłużej szczęśliwą, aniele!“ pomyślał Janusz i wzięwszy z cicha wianeczek uciekł z nim biedny, rozpaczający, i wrócił do siebie.

„Pan sędzia był tutaj sam,“ mówił doń służący — „żałował, że pana nie zastał i zostawił tutaj tę kartkę.“ — Janusz otworzył;

„Gracz nie będzie nigdy moim zięciem!“ — przeczytał i upadł na krzesło zasłaniając twarz rękoma.

Przepaść otwierająca się nagle tuż pod nogami wędrowca, kiedy nie ma pędzi ziemi by stopę postawić, lub trawki, którejby się ręka chwyciła; rzuci dłoń chwilę — jedną chwilę wykrzyku, rozpaczy — leci w przepaść, roztrąca się po skałach i ginie, a z życiem ustaje mu wszystko. Ale lecieć w niepowoli, czuć kawałek istnienia odszarpanego na każdym kamyku, czerwienić krwią swoją każdą tra-

wkę, każdy kamień, i jeszcze doleciawszy do głębi przepaści czuć tam istnienie — a jakie istnienie?... życie szkieletu, którego szczątki pozostawały na krzakach i skałach: — takiem życiem któżby z nas żyć zechciał?...

Janusz chciałby, by to wszystko snem mu tylko było — z zamkniętymi oczyma zajrzał duszą w przeszłość i zamarzył o przeszłości i siedział tak długo — długo: chciał był zasnąć i obudzić się znowu swém dawném życiem, lub nie budzić się już nigdy. Otworzył oczy i jeszcze — jeszcze wątpił o prawdzie swój nędzy, jeszcze objąć jej wielkości dusza się wzbraniała. Zdziwioném okiem spojrział w około siebie — szkatułka roztluczona i próżna leżała w kącie między przygotowanymi tłómkami — na ziemi walały się w śmieciach pieniądze, które tam potoczyły się wśród gry — na stole zielonym przygotował wierny sługa białą ślubną kamizelkę i ubiór godowy — obok na tacy leżały bukiety, które ogrodnik przyniósł był rano z bliskiego ogrodu. Na stolku leżała szkatułka z pistoletami i do nich tylko uśmiechnął się Janusz przyjaciela śmiechem — bo wszystko, co widział, mówiło mu o tém co stracił, i cały obraz odegranych czynów odmalował się na płótnie niedawnej przeszłości straszniemi i krwawemi kolorami. Ze śmiechem rozpaczy porwał za pistolet — pierwsza myśl, pierwsza chęć była zakończyć wszystko na raz, rzucić to życie, które nagle tak okropnóm stało się dla niego, — i już leżało na czole zimne i mordercze żelazo — jedno skinienie tylko i już wszystko — wszystko skończone.

W tej chwili ostatniej, rozpaczliwej, Janusz wspominał na matkę — ręka opadła na dół; miała stanąć przed nią z raną na czole, które ona niegdyś ręką swą pieściła, na którym tyle razy usta jej spoczęły? »O! matko moja!« zawołał — pistolet był na ziemi, a Janusz padłszy na krzesło rzewnie płakać począł. Biedny człowiek! któremu lży osłodą w nieszczęściu, który płacząc pocieszonym się czuje — dla tego że płacze! — a płacze nie za stratą pieniędzy, tytułów lub bytu, ale za stratą marzeń, za stratą przeszłości i złotych snów minionych na zawsze. *(Dokończenie nastąpi.)*

## Pomysły o wychowaniu ludów.

### 2. Natura jako środek wychowania.

*(Ciąg dalszy.)*

Nie można lepiej porównać ludy w stanie pierwotnym społeczeństwa żyjące, jak porównując je do pierwotnego stanu człowieka, do lat jego dzie-

cinnych. W obu razach przedstawia nam się obraz przyrodzonego ludzi usposobienia, nie spaczony późniejszymi wyobrażeniami wieku, ni przesądami, co idą za oświatą, jak cień za słońcem, i głąszą w ludziach głos natury, i zacierają odebrane od niej nauki.

Pojrzmy zatem na dzieci, będące jeszcze dziećmi natury. One nie znają jeszcze złego tego świata, i dla tego złe w ich sercu i umyśle osieść jeszcze nie może. Wszystko im równe i dobre, wszystko uważają jako swoje; ze zwierzętami żyją jak z ludźmi, z obojgiem jak z pupkami, po wszystko sięgają jak po swoją własność. Dopiero kiedy je człowiek obje, zwierzę ukąsi, ogień sparzy, zaczynają wystrzegać się styku z tém wszystkiém. Imaginacja ich zawsze żywa, rozum zawsze czynny, pojęcie bystre, a niepohamowana ciekawość. Dziecię w pierwszych trzech latach nieskończenie więcej uczy się i poznaje, niżeli przez całe następne życie swoje. A oczy jego, słuch, i wszystkie zmysły wyciężone na zewnątrz, na obrazy świata, których objaśnienia żąda od matki lub ojca. Na ich obliczu zawisło jego oko, aby zeń wyczytać wszystką naukę, wszystkie uczucia, wszystkie myśli. Rodzice są opatrnością dzieci, bez którejby ani żyć, ani istnieć nie mogły; a ta opatrność jest tém droższa, że z miłości nieprzebranej płynie. Dzieci to widzą i czują, i dla tego rodzice im są wszystkiém na świecie, do nich staczają się, w okół nich snują się wszystkie ich chęci, myśli i miłości. A czém jest świat dziecięciu? — obcy zrazu, i lęka się przed jego widokiem; ale wkrótce oswaja się z nim, i nie przeczuwając nic złego, z zaufaniem i z miłością ten świat obejmuje. Wczas jednak przyrodzone w niém prawo własności skrócone i zgłuszone. Widzi, że inni tam już prawo swoje położyli, a kara odstrasza nawet myśl sięgania po to, co już na sobie nosi piętno obcego, choćby rodzicielskiego nawet. Najdłużej u dzieci, bo aż do młodzieńczego wieku, przechowuje się równość braterska. Zrazu nie pojmują różnicy stanu, rodu, wyznania, pochodzenia. Nikt lepiej nie wykonywa przykazania miłości bliźniego jak dzieci z przyrodzonego instynktu, a raczej z niewinności uczuć. Dziecię królewskie i dziecię kmiotka ubogiego są najlepszymi przyjaciółmi, dopóki pierwszemu nie powiedzą, jak mama Gogo (tak nazywał młody król rzymski ochmistrzynię swoją) synowi Napoleona, aby zawczesną ambicyą poskromić jego niesforność: że to nie wypada na króla rzymskiego. Ale i potem, kiedy już ludzie, jedni przez pochlebstwa, inni przez dumę, i w dzieciach przedział stanu i urodzenia zaszczipili, jeszcze wrodzona żywość umysłu młodego, i serce przebrane

miłością, rade się równiennikom udzielić, przemogą nad formami zewnętrznymi, co dla źle zrozumianej przyzwoitości dzieli ludzi na kasty. Po szkołach mianowicie widzi się uczniów bez różnicy stanu i majątku ściśle związanych koleżeństwa przyjaźnią. I ta to przyjaźń na gruncie pierwszych, niezsputych, przyrodzonych uczuć młodzieńczych wzrosła, najsilniejsze na potem ma korzenie, i najsłodsze owoce.

Czém rodzice są dla dzieci, tém Bóg i natura dla ludów; a ta sama niewinność uczuć w jednych, co w drugich. — Pierwszą naukę ludy biorą od natury, w której się twarz patrząją. Ona ich uczy przemyśłu i objaśnia im dzieła Boga. — Pierwszą miłością ludów jest Bóg. Bóg opatrzny, opiekuńczy, stwórca i ojciec. Pierwszém prawem przyrodzonym ludów jest własność tego wszystkiego, co Bóg stworzył, używają wszystkiego tém prawem, jakim dzieci domagają się od rodziców tego, czego potrzebują. Ale to prawo wczas bywa ukrócone koniecznym następstwem rozdziału własności przez pracę. Praca wspólność własności zniosła, i prawo przyrodzone zamieniła na osobiste. W raju tylko wyobrazić sobie można wspólność ziemi i jej owoców. Po wypędzeniu z tego ogrodu szczęśliwości plemienia ludzkiego, na własność zapracować trzeba. — Pierwszém nareszcie pojęciem u ludów stosunków ludzi między sobą jest równość i miłość braterska, na przyrodzonych uczuciach, i na familijnym stosunku ludów do Boga oparta. Jako dzieci jednego ojca, jako istoty sobie podobne, stworzone wszystkie na obraz i podobieństwo Boga, nie widzą jeszcze w sobie różnic; a przy dalszém rozwinięciu się wydatności lub niskości sił i umysłu, nie widzą, jak ztąd uzasadnionym miałby być przedział między ludźmi, rozwiązujący ich przyrodzoną skłonność miłowania się wzajemnego, i społecznego z sobą życia.

To pojęcie równości i braterstwa ludów i między sobą i w sobie, utrzymało się najdłużej, u wszystkich narodów rólniczych i patryarchalnego urzędzenia, jakie było np. u żydów. Jest ono koniecznie z wyobrażeniem jedności Boga połączone; i upadało wszędzie, gdzie bałwochwalstwo cześć jednego Boga zajęło. Ze czią wielobóstwa weszły kasty i niewola wśród ludów. Rozwiniemy tę myśl obszerniej, gdy będzie mowa o religii, jako chowaniu ludów. To pojęcie równości i braterstwa ponowiła dla tego i wprowadziła z sobą religia chrześcijańska, na ruinach poganizmu wiarę w jednego Boga i Ojca ludów, zaprowadzająca. To pojęcie rozwijały gminowładztwa, a mianowicie sławiańskie. Zamknięte w kaście jak w puszcze Pandory, utrzymało się i kształciło w Polsce szlache-

ckiej. Z tych pierwiastków i źródeł odległych przechowuje się mniej więcej skażone w massach ludu naszego, w stanie włościan, gdzie patryarchalny jeszcze zachodzi stosunek między gospodarzem a sługą; gdzie jest różnica obowiązków, ale nie ma różnicy rodu, pochodzenia, tytułów i t. p. Tego pojęcia nakoniec uczy Bóg raz po raz ludy swoje, kiedy na nie zsyła nieszczęścia i klęski. Nic ci tak nieprzypomina jak nieszczęście, że jesteś niczem, że wszystko czem jesteś, jesteś z łaski Boga twojego, który i ciebie i wszystkich bliźnich twoich stworzył, wychował i utrzymuje. Nieszczęście obiera człowieka ze wszystkich dóbr urojonych; jak bańka mydlana tryska i zniknie wszystka wielkość światowa, cały ten nimbus świetny, który człowieka otaczał i nadymał, i nie pozostaje nic z tego, jak — człowiek, tak jak wyszedł z łona natury. Z wysokości społeczeństwa przez klęski stracony, upada w padół mass ludu, i tam dopiero widzi ludzi sobie podobnych, z temi samymi potrzebami ciała i duszy, żyjących w prostocie ducha, i w równości społecznej, gdzie panuje uszanowanie głębokie, dla wysoko postawionych, ale miłość i zaufanie dla równych sobie. Taki sam skutek sprowadza nieszczęście, jeżeli niém lud cały dotknięty, kiedy wojna, lub morowe powietrze ludzi dziesiątkuje, i nie robi wyboru. I tu kiedy śmierć łada chwilę w oczy zaświeci, i człowiek uczuje się człowiekiem tylko, blaknie blask dostojności, tytułów, urodzenia, majątku, więc o ile ta obsłona, ten parawan, co wyższe stany zasłaniał przed gminem, odmyka się i obala, o tyle zbliżają się one do ludu z ocknioném uczuciem równości w sercu i braterstwa. Dawno to powiedziano że nieszczęście równa ludzi, równa i stany.

Ale są jeszcze inne przeciwne zupełnie temu okoliczności, które w nas te same uczucie braterstwa obudzają. Jest to skutek szczęścia. Nagła chwilowa radość, uszczęśliwienie nadspodziewane. I w takim stanie duszy, gdzie zda się, wdzięczność w sercu obudzona wraca człowieka Bogu, jako syna, a ludziom, jako brata; i wtenczas, choć tylko przez chwilę szał błogi, zamilkł i utaił się człowiek sztuczny, a uczuł się w sobie człowiek naturalny, i gotów pierwszemu lepszemu współbratu, którego spotka, zawisnąć u szyi, i wypowiedzieć mu szczęście swoje; aby istota współczująca współczuła z nim, współ się radowała. Tak stęskniony Cesarz Francuzów a więcej wtenczas stęskniony ojciec na skale Ś. Heleny gdy mu dawny żołnierz jego, człek prosty ale uczciwy i przywiązany, przekradłszy się jako majtek, przyniósł

wiadomość że widział w Wiedniu syna jego, że z nim rozmawiał — w nadmiarze uszczęśliwienia rzuca się w objęcie majtka, i ściska człowieka, co mu tak upragnioną przyniósł wiadomość.

Pojęcia przeto równości i braterstwa Bóg uczy ludy swoje, wszczepione ono jest głęboko w ich duszy, i odzywa się, ilekroć sztuczne różnice albo zniwelizowane nieszczęściem, albo przyćmione strachem, radością, chucią; zgoła ilekroć w człowieku człowieczeństwo przemówi i przemoże prawami swojemi. Uczy ich dalej miłości siebie i miłości bliźniego. Na czém zatém polegał cały zakon i prorocy, czego religia nowego przymierza naucza, tego obojga uczył od wieków Bóg ludy swoje, a uczył je przez matkę naturę. Bo tylko w naturze widziały ludy oblicze jego, i słyszały, rozumiały głos stwórcy nauczyciela swojego.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

## Magnaci na dworze Ludwika XIV.

W czasie panowania Ludwika XIV., które przedział lat 72 wypełnia, to jest od 1643. do 1715., zamieniła się Francya z feudalnej na nieograniczoną monarchią. Już podczas poprzednich rządów Richelieu utorował ku temu drogę, osłabiając szlachtę lenną; pod Ludwikiem dokonano reszty. Szlachta spłynęła z zamków swoich na dwór i trudniła się obowiązkami około osoby królewskiej. Tym sposobem zaginął duch i niepodległość francuzkiego rycerstwa, a świetnemi dochodami i łaską dworu zepsuty wpadł w zniewieściałość, z której się nigdy nie podźwignął. Ich zbrodnie, głupota i słabość przyspieszyły rewolucyą, której ruchem zniszczeni, nie byli zdolni znikomój nawet odegrać roli.

Następujący opis poranka na dworze Ludwika XIV. wyjmujemy z pamiętników owych czasów — odkryje on spodlone oblicze owoczesnej francuzkiej szlachty, która za chlubę i cel najwyższy poczytywała łaskę panującego i dla jęj uzyskania podejmowała najposłedniejsze usługi około jego osoby.

Okolo 8mej godziny zrana, kiedy służący rozpalal na kominku królewskiej sypialni ogień i Ludwik spał jeszcze, otwierali paziowie okna, przez które pokarmy na noc dla króla zastawione podawali odbierającym. Bontemps, pierwszy pokojowy, który spał w tój samėj sypialni i ubrał się tymczasem w przedpokoj, powrócił napowrót i stał w milczeniu, aż godzina uderzy przeznaczona przez króla na przebudzenie. Zbliżył się potém do łoża króle-

wskiego i rzekł: »Naj, panie, godzina wybiła,« następnie poszedł do przedpokoj i oznajmił przebudzenie królewskie. Podwoje natenczas na roścież otworzono i Delfin z dziećmi swemi, Monsieur i książe Chartres stali w pogotowiu dla powiedzenia naj. panu »dzień dobry.« Książe du Maine, hrabia Tuluzy, książe Beauvillers, pierwszy szambelan, książe de la Rochefoucauld, szatny, weszli z poczem sług i urzędników szatnych. Lekarz i chirurg nadworny także zostali przypuszczeni. Bontemps wziął naówczas złote naczynie i wylał spirytus winny na ręce króla, książe Beauvillers podał święconą wodę, którą król się przeżegnał, tymczasem Delfin i książe du Maine zbliżyli się do łoża i pytali króla, czy spał dobrze. Później odmówił król krótką modlitwę, po modlitwie pan de St. Quentin podał mu rozmaite peruki, z których król jedną wskazał i wybrał. Skoro siadł na łożu, książe Beauvillers obłóczyl go w haftowany szlafrok. Quentin wręczał perukę, którą król sam sobie włożył na głowę. Potém obuwano go w pończochy na klęczkach i podawano jeszcze raz święconą wodę. Następnie opuścił król balasy, za któremi stało łoże, siadł na krzesło niedaleko kominka i rozkazał »la première entrée,« co głosem wzniosłym książe Beauvillers powtórzył, i zaraz wpuszczał paż osoby, które miały prawo w skutek łaski być przytomnemi przy »le petit lever« (przyjęcie u króla zaraz po wstaniu z łożka). Natychmiast ukazali się: marszałek książe Villeroy, hrabia Grammont, markiz Dangeau, pan de Beringhen, czterej sekretarze; Colin, Baurepas, królewscy lektorzy; Vergins, hrabia Crécy, sekretarz gabinetowy i Baron Breteuil z mnóstwem szatnych. Najjaśniejszy pan potém przystąpił do golenia, Charles de Guisgne trzymał miednicę, Quentin mydlił królewską brodę i po nięj brzytwą wodził, a następnie gębką oczyszczał z mydła twarz królewską. Bontemps ciągle trzymał zwierciadło. Po ukończeniu tych operacyi, Caillebat, markiz de la Salle i Letellier, markiz de Louvre, szatni, przysposabiali suknie dla króla, który wówczas wydał rozkaz do wpuszczania w skutek wielkiej swęj łaski osoby na »grande entrée.« Skoro się jaki polubieniec pokazał w przedpokoj, natenczas pan de Rassé, odźwierny, szepnął księciu Beauvillers jego imie do ucha. Książe powtórzył je królowi, a ten pozwalał lub odmawiał przystępu. Szlachta pierwszego rzędu, marszałkowie, biskupi, namiestnicy prowincyi tłumami oczekiwali z pokorą i cierpliwością niewypowiedzianą posłuchania.

Król tymczasem jest zatrudniony ubieraniem się, a polubienicy tyle są szczęśliwymi, iż mogą być przytomni tēj słodkiej ceremonii. Nareszcie Ludwik

siada do śniadania, rozkazuje też u stołu zasięść Racinowi. Dwóch służących wnosi potrawy, wielki podczasy podaje księciu Beauvillers złoty puchar, ten go napelnia winem i wodą, próbuje i podaje królowi. Delfin składa w ręce pierwszego szambelana kapelusz i rękawiczki, bierze serwetę i podaje królowi, który nią sobie usta ociera.

Po śniadaniu Ludwik składa szlafrok i następnie inne rzeczy, rozpoczyna swą toaletę od A do Z, przy której ciągle mu usługują książęta, markizowie i hrabiowie, nakoniec książę de la Rochefoucauld opasuje go szpadą, wkłada nań wstęgę niebieską, wraz z orderami św. Ducha i św. Ludwika. Markiz de la Salle wyjmuje z kieszeni wszystkich sukien dniem wprzód noszonych pieniądze, klejnoty i inne drobiazgi, przez króla pozostawiane, i oddaje je pod jego rozrządzenie. Król potem klęka, odmawia krótką modlitwę, którą wszyscy kardynałowie-biskupi cichym głosem powtarzają.

Najjaśniejszy pan teraz jest gotów do dawania posłuchań posłom zagranicznym. Najpierwszym jest poseł hiszpański, przed przypuszczeniem jednak okrywają szatni łoże kobiercem i zaciągają je zasłoną. Król siada za balasami, książę Beauvillers i de la Rochefoucauld i markiz de la Salle stoją obok, książęta z krwi królewskiej siedzą przy boku królewskim, poseł wchodzi, trzy razy kłania się, król na to wstaje, zdejmując kapelusz, wita posła, potem wkłada kapelusz na głowę i siada. Poseł przemawia, wkłada także kapelusz, toż samo czynią książęta. Po ukończeniu posłuchania oddała się poseł uczyniwszy trzy pokłony. Za główny cel chwały uważali polubieńcy, jeżeli król pozwolił im wejść w czasie swęj sła- bości, kiedy brał lekarstwa.

## ROZMAITOŚCI.

Londyn podczas wyborów. Miasto to jest obrazem przywilejów, wśród kraju zaslanego przywilejami. Ma własną konstytucją, ścisłe prawa, niezawisłą administracją, nazywa siebie odrębnie przed innemi miastem, dochody jego równają się dochodom państwa drugiego rzędu. Lordmajor ma atrybucye królewskie; jego mały nasiadły obwód, przetrzęty ulicami i uliczkami na wszystkie strony, posiada bogactwa, które w zadumienie wprawiają. Wszystkie plody przyrodzenia, przemysłu, wszystkie skarby morza i ziemi są nagromadzone w jego składach. Przeszło 2000 okrętów pływa po jego wodach, 1500 parowych okrętów uwija się dzień i noc po jego kanałach; są one własnością Cytyi, jakoteż Tamiza sama od Stalnes do Gravesend. Obraca ca-

łym kredytem banku i giełdy, stoi w związkach z całym światem, dowiaduje się o wszystkim przez Lloyd, a ponieważ przestrasz zawsze bywa obok potęgi, przeto ma w swojem łonie sąd przysięgłych w Old Bailly i obok niego okropne więzienia w Newgate. Obiorcy są dwojacy, Liverymen i Householders. Householders są właścicielami lub komornikami i mają głos na wyborach członków do parlamentu, jeżeli płacą 250 franków podatku. Liverymeny czyli tacy, co liberyą noszą, nie płacą ni grosza podatku i sprzedają swe głosy Torysom. Są oni zabici arystokraci, a raczej liberyą arystokracji, jak dawniej szlachta drażkowa u nas. Nie znajdziesz u nich żadnej godności, niezawisłości, poświęcenia. Tacy Liverymeny sprzedają głosy swoje częstokroć za szyling, za szklankę duża piwa. Są oni zakałem społeczności angielskiej i wcale się nie tają z tą bezecnością, obnosząc publicznie głosy swoje na licytacye. Dokąd kupcy i sprzedawcy tych głosów Anglią doprowadzą, czas okaże!

Arago doniósł akademii umiejętności o nowym odkryciu Daguerra: elektryzując płytę srebrną, przygotowaną do daguerrotypowania, natenczas miejsca na niej, które światłem naprzód uderzone zostały, zbytecznie bywają dotknięte i dla tego później oświetlone trudno w harmonią z pierwszymi wprowadzić. Ztąd obraz niewyraźny i nieczysty powstaje. Chcąc płytę mniej czułą na wpływy światła otrzymać, wprzód trzeba ją oświetlić w ciemnicy optycznej, a później elektryzować. Natenczas przez puszczenie iskry elektrycznej na płytę, możemy np. zgromadzenie całe w czasie największego wzburzenia plastycznie uwiecznić.

Szkielec. W drugim akcie »wolnego strzelca« Webera, pokazuje się podczas lania kul czarodziejskich szkielec na scenie. W Paryżu używają w tym celu prawdziwego szkieletu, a o nim powieść jest osobliwsza. W roku 1787. pokochał się młody chłopak lat 18 mający, nazwiskiem Boismaison, w Naninie Dorival. Oboje należeli do figurantów w balecie. Nanina okazywała dlań wiele skłonności, lecz w krótkce przeniosła nad niego starszego podoficera, który zwykł dowodzić oddziałem żołnierzy w czasie opery. Boismaison przekonał się o swém nieszczęściu, stracił nadzieję i postanowił się zemścić. Jednego wieczora po sztuce zasadził się na swego współzawodnika, ale niczego nie dokazał, co gorsza związany przez niego, całą noc strawił w przysionku domu opery. W tak opłakanym stanie znalazł go zrana dozorca tego domu, który dowiedziawszy się o szczegółach, opowiedział wszystkim zdarzenie. Boismaison nie

mógł znieść urągania swoich towarzyszków, zahorował i umarł, zostawiwszy szczególniejszy testament. Zapisał swe ciało Lamairanowi lekarzowi, i prosił go, aby szkielet z niego zachował w teatrze, życząc sobie i po śmierci w bliskości tej być umieszczony, którą nad życie kochał. Ostatnia wola młodzieńca wypełnioną została, szkielet z niego należy do sprzętów teatru. Przez »Strzelca wolnego«, otworzył się dlań nowy zawód.

**M O D Y.** — Paryż, dnia 26. Lipca 1841. — Jest to uznana prawda wśród towarzystwa, iż świeżość i różnorodność w toalecie, świadczy o dobrym guście. Dama wybierająca zawsze te same kolory, ten sam krój, te same stroje głowy, mniemanie o sobie utwierdza, że z mnóstwa przedmiotów te wybiera, które jej są wyłącznie do twarzy i że jeden ubiór może tylko obrać; gdy tymczasem inna znająca się na korzyściach różnorodności, wszystkie rodzaje piękności łączy i w stanie jest co chwila w innych kolorach, w innych strojach, a zawsze gustownych wystąpić.

Widzieliśmy tak np. w przeszłym tygodniu jedną damę w kościele. Jej ubiór na rano i do miejsca zupełnie był zastosowany. Miała kapelusz na głowie z sztywnej słomy włoskiej z jednym pięknym piórem strusięcym. Suknia z czarnej mory w płaskorzeźbę; orzucona sznurkiem. Na niej szal długi lazurowy z kaszmiru, ale tak delikatny i lekki, iżbyś go za tkaninę letnią uważał. Reszta zastosowaną była do tego ubioru.

Ta sama dama w lasku bułońskim miała nazajutrz coś ze zbytku miejskiego i niechęcenia wiejskiego. We włosach splecionych w berthy ukazywały się różyczki nymfowe, a twarz jej miłą, otaczał kapelusz krepowy, półzasłona u niego załotnie związana była pod brodę. Nic ładniejszego nad jej suknią perłową, posianą różami tak dziwniej roboty, iżbyś je za malowane na kości słoniowej poczytał. Długi szal z białych koronek, kanezu osute haftami, lekka chusteczka oszyta koronką, parasolik z białego jedwabiu, śliczne rękawiczki i perłowo lśniące bójki dopełniały ubioru, który tę co go nosiła, za wzór elegancji paryskiej podawał.

Ubiór od niechęcenia na rano. Szlafroczek

z niebielonego wełno - płótna, niebiesko oszyty, z przodu otwarty na sukni białej, osadzonej paskiem szerokim wutowanym. Długa przepaska z wstążki kratkowanej niebiesko i czerwono. Chusteczka z zmarszczonego muszliny.

Ubiór niedbały na wyjście. Suknia z surowego batystu z stanikiem i rękawami à la jardinière, troje wielkich ukosów na powłóce, nad każdym jednokolorowa haftowana jedwabiem girlanda. Kapotka słomkowa bez wystroju, małeńka zasłona z paryskich koronek.

Ubiór na wieczory. Suknia z indyjskiego muszliny z pięcioma ukosami, nad każdym ukosem pasek złoty. Stanik i rękawy bardzo krótkie i ściągane. Szal z indyjskiego muszliny potrzykroć złotem bramowany u brzegu.

Ubiory męskie. Na wsi. Surdut dreliszkowy, guziki z włosianej tkaniny. Na boku kieszenie na ukos. Obszerne pantalone dreliszkowe bez podpierek. — W mieście. Surdut jasno zielony, guziki tegoż koloru na dwa rzędy; kołnierzyk i wyłogi gładko przystające, pantalone nankinowe, kamizelka z białego przerabianego kaszmiru. Krawat z jedwabiu w różnym kolorze. — Ubiór balowy. Frak bironowski, z jedwabnymi guzikami tegoż koloru, szerokie poły okrywające biodra, pantalone kaszmirowe, kamizelka pikowa, czarny krawat.

### Objaśnienie ryciny.

1. Kapelusik suto strojny angielską koronką, z różyczką. Suknia we wzory, o dwóch falbanach. Szarfa z zielonego grosdenaplu.
2. Włoski słomkowy kapelusz zdobny zieloną aksamitną wstążką. Suknia jedwabna, orzucona ukosami. Rękawy obcisłe z szerokimi mankietkami. Cannezou z paskami haftowanymi.
3. Krepowy kapelusz zdobny koronkową zasłoną. Suknia pstra, osadzona pasamonami. Rękawy obcisłe z naramiennicami.
4. Kapelusz z ślaniającem się piórem. Suknia muszlinowa, w kolory haftowana, orzucona ukosami, z półdługimi rękawami, u dołu ściąganiem. Stanik gładki. Długie lśniące rękawiczki. Szarfa z tkaniny sukni, u dołu fręzla rozkręcona.
5. Czepek koronkowy, kwiatami zdobny. Suknia organtynowa z dwoma ukosami, nad niemi haft. Bluzowy stanik, z wykrojem ohaftowanym. Rękawy krótkie. Rękawiczki lśniące.

### Oświadczenie.

Doszło redakcyi, iż po niektórych król. pocztamtach nie bywają wręczane ryciny mój do Dziennika domowego; uprasza przeto redakcyę sz. prenumeratorów, aby obstawali o oddanie zaległych rycin, gdyż te jak najregularniej z Poznania pocztą odchodzą, a w razie przeciwnym, iżby podali zażalenie do tutejszego król. Oberpocztamtu o zachodzącą w tej mierze nieregularność na właściwym pocztamcie.





Z. Brückner sc.

